



Wokół suwerenności

II Rzeczpospolita była państwem niezwykle suwerennym. Ani III Rzesza, ani Związek Sowiecki nie były w stanie niczego jej dyktować. Była też krajem wzmoczonego nacjonalizmu budującego tożsamościowy stereotyp „Polaka katolika”. Zarazem jednak ani przez moment swego istnienia nie była krajem bezpiecznym. Jej koniec nastąpił błyskawicznie. Ze względów międzynarodowych i wewnętrznych nie była w stanie bronić swej niepodległości nawet przez kilka tygodni.

Dlaczego o tym warto pamiętać? Ponieważ mamy w tej chwili kolejny nawrót mocno tym razem udramatyzowanego dyskursu o potrzebie obrony zagrożonej rzekomo suwerenności Polski. Argumenty, po jakie się sięga, wskazują albo na głęboką niezrozumiałość rzeczy, albo na silnie polityczną, doraźną motywację. Albo też jedno i drugie, na co wskazuje choćby porównywanie obecnej sytuacji Polski pod względem jej suwerenności do czasów, gdy była ona państwem niesuwerennym i wasalem Związku Sowieckiego (sic!). Nie ma tu miejsca na podręcznikowy czy nawet encyklopedyczny wywód na ten temat, ale wydaje się konieczne odniesienie się do niektórych przynajmniej argumentów, którymi się szermuje w „obronie” polskiej suwerenności.

Przykład II Rzeczypospolitej dobitnie wskazuje, że suwerenność trzeba widzieć w jej służebnym związku z takimi wartościami i potrzebami, jak bezpieczeństwo i tożsamość. Wstępując do Sojuszu Atlantyckiego, „ograniczyliśmy” swoją suwerenność w zamian za bezpieczeństwo Polski. Wchodząc do UE, podzieliiliśmy się suwerennością z innymi państwami Unii oraz jej organami, a to w imię naszego bezpieczeństwa, ale też rozwoju, który umacnia naszą tożsamość.

Wbrew głosom rzekomych „obrońców suwerenności” przynależność do Sojuszu Atlantyckiego oraz do Unii Europejskiej wzmacnia naszą suwerenność. Trzeba bowiem rozumieć, że suwerenność Polski (a także wielu innych krajów) jest ograniczana przede wszystkim przez postępującą globalizację, wobec której kraje rozmiarów Polski są zupełnie bezradne i stają się igraszką globalnych rynków oraz gry wielkich mocarstw. Dlatego przynależność do Unii Europejskiej nie osłabia, a wzmacnia naszą suwerenność, czyniąc nas podmiotem, a nie przedmiotem polityki międzynarodowej, tym samym broniąc nas i inne państwa członkowskie przed szkodliwymi efektami ubocznymi globalizacji. Nikt nie może zaprzeczyć, że Unia umacnia faktyczną suwerenność swoich państw członkowskich wobec możliwych nacisków ze świata zewnętrznego (np. na Polskę ze strony Rosji). Zresztą w UE nikt nam nie może kazać coś zrobić, na co wcześniej sami byśmy się nie zgodzili. Owszem, możemy się od tego „uwolnić”, ale jedynie poprzez wyjście z Unii, a nie arbitralne naruszanie suwerennych decyzji narodu dla doraźnych potrzeb czy korzyści władzy.

Obecna faza sporu toczonego przez władze RP z UE, w toku którego sięga się po argument suwerennościowy, dotyczy praworządności. Otóż członkostwo w UE wymaga spełnienia pewnych kryteriów ustrojowych, spośród których zasada praworządności, w tym niezawisłości sądownictwa, należy do centralnych. W sprawie praworządności Polska siedzi w unijnej „oślej ławce” już od 2016 roku. Zapewne pamiętamy okrzyki „suweren, suweren”, wznoszone w Sejmie przy okazji zmian dotyczących Trybunału Konstytucyjnego. To m.in. na tym tle różne organy UE i Rady Europy wszczyły wobec Polski dochodzenia, przyjmowane były krytycznie brzmiące rezolucje i raporty. Tym razem chodzi o związek pomiędzy przestrzeganiem praworządności a unijnym Funduszem Odbudowy. Wymóg przestrzegania w tym kontekście praworządności miałby według niektórych stanowić niedopuszczalne naruszenie suwerenności Polski.

Tenor polskich wypowiedzi w tej sprawie przypomina niestety to, co słyszeliśmy w przeszłości z ust przedstawicieli PRL, ZSRR, ChRL czy państw arabskich lub afrykańskich, oskarżanych w ONZ o naruszanie praw człowieka. Owszem, suwerenności trzeba strzec, ale w interesie Polski i Polaków, a nie jakiegokolwiek rządu, który zmieniając czy naruszając normy i zobowiązania międzynarodowe, chciałby sobie poprawić komfort sprawowania władzy.

Rodzimi adwokaci suwerenności odwołują się przy tym chętnie do tyleż wdzięcznego, co bałamutnego hasła „Europa ojczyzn”, błędnie przypisywanego prezydentowi Francji de Gaulle'owi, a także wiążącego je przez kolejne hasła – „powrotu do korzeni” – z inicjatorem powołania pierwszej Wspólnoty w 1950 roku – Robertem Schumanem. Przypomnijmy zatem, że prawdopodobnie jedynym przykładem realnie istniejącej „Europy ojczyzn” był okres międzywojenny z jego znanym końcem. Co się tyczy Schumana, to z jego słynnego przemówienia z 9 maja 1950 roku w Europie najczęściej cytuje się zdanie: „Europy wtedy nie było. Mieliśmy wojnę” – to o okresie poprzedzającym jego deklarację. W jego wizji Wspólnota miała być „pierwszym etapem Federacji Europejskiej”. Obecnie w UE europejskie ojczyzny mają się tak dobrze, jak nigdy w historii, poczynając od tego, że nie są na siłę rusyfikowane, germanizowane czy madziaryzowane. Suwerenne przed wojną państwa europejskie wyciągnęły właściwe wnioski z lekcji historii: aby utrzymać swą realną suwerenność, trzeba się nią mądrze dzielić z innymi, tworząc Wspólnotę Europejską. A to oznacza, porzucić dzikie, gminne rozumienie suwerenności jako władzy pozbawionej wszelkich ograniczeń. Taka sterylna suwerenność, według definicji z XVI czy XVII wieku, już od dawna nie istnieje, o czym zapominają ci w naszym kraju, którzy się do niej od pewnego czasu odwołują.

ROMAN KUŹNIAR
Uniwersytet Warszawski